



Krystyna Janda

Obca czyli Medea

Szanowni Państwo!

Było tak. Spotkaliśmy się na pogrzebie cudownej mamy Zbyszka Zapasiewicza, której, mam nadzieję, przez ostatni rok jej życia dostarczałam trochę rozrywkę, wpadając każdego dnia, jako najbliższa sąsiadka i opowiadając co mi się wydarzyło. Mimo że żegnała mnie zwykle z lekko zakłopotanym uśmiechem, jakby nie wiedziała co ma zrobić z tym co jej właśnie naopowiadałam, ale mam wrażenie, że lubiła te moje wizyty.

A więc, spotkaliśmy się na pogrzebie, Zygmunt Hübner, mijając mnie po uroczystości, w drodze do swojego samochodu, powiedział:

– Uszanowanie, gratuluję sukcesów, ale co to też pani gra za głupoty, powinna pani zacząć myśleć o tytułach, które się umieszcza w nocy biograficznej, w encyklopedii, gdyby przyszło pani coś takiego do głowy, proszę zadzwonić, może się dogadamy...

Jak zwykle – sucho, lakonicznie, sedno sprawy – i został mi z jedną nogą zawieszoną w powietrzu nad krawężnikiem przed kościołem św. Boromeusza.

Następnego dnia zaczęłam pracę dopiero o 10. Z łóżka zadzwoniłam do znajomego „znawcy antyku” do Instytutu Sztuki i mówię:

– Wacek, opowiadaj mi wszystkie tragedie antyczne jakie napisano, ale tak wiesz, same historyjki, przecież wiesz, ja tego nie pamiętam.

Kiedy doszedł do Medei, wrzasnęłam – to! Jeszcze raz. Wspaniałe. Można by to przeczytać w „Expressie Wieczornym” w kronice sądowej. Młodzież przyjdzie. Poza tym podoba mi się jej imię i dawno nikt tego nie robił. Aktorki boją się tego jak ognia, no bo jak jej bronić? Biorę.

Zadzwoniłam do dyrektora Hübnera, powiedział:

– „Medea”? Ciekawe. Nigdy tego nie robiłem. Będę to reżyserował. Proszę do mnie przyjść, ustalimy terminy.

Pół roku później zaczęły się próby. Na pierwszej zorientowałam się, że nie będzie to tradycyjna inscenizacja antyku w białych togach, na tle białych kolumn, że pan Hübner wie wszystko i wszystko jest wymyślone. Powiedział:

– Zainteresowało mnie to, co pani zauważyła, że najważniejsze jest, że jest „obca” kulturowo, z innego świata. Wydaje mi się to rzeczywiście ważne. Najprościej byłoby zaangażować Murzynkę, a dookoła byłiby biali. Dzieci też musiałyby być ciemne. Musi pani wymyślić „inny” sposób bycia na scenie, chodzenia, reakcji niż wszyscy partnerzy.

Pokazał projekty kostiumów, niezwykle, japońskokosmiczne projekty dekoracji, czarnych, monumentalnych. Powiedział:

– Makijaż niebieski, szafirowe usta.

Powiedział:

– Zależy mi na zrobieniu spektaklu, przede wszystkim dla młodzieży. Będzie grał na „żywo” Józef Skrzek, oni go lubią, napisze muzykę, zaangażowałam chór z Uniwersytetu Warszawskiego.

Sucho, pewnie, lakonicznie.

Zaczęła się praca. Hübner źle się czuł... Narzekał, że się dusi. Nie mógł mówić. Kiedy zaczęliśmy próby na scenie, wydawał polecenia prawie szeptem. Ja leżąca, stojąca albo siedząca prawie przez cały sceny przyzwoicie, powtarzałam je kolegom głośno, później zainstalowano dla niego mikrofon. Nie wiedzieliśmy, że to ostatnia jego praca teatralna. Że wkrótce umrze.

Postanowił, że będę na scenie cały czas, że mam też wypełnić „sobą” pieśni chóru, który również przez cały spektakl trzymał na scenie, z tyłu za mną. Opadły mnie wątpliwości i przerażenie. Jak jej bronić? W jakim stanie emocji, psychiki musi być ta kobieta, żeby choć w części zrozumieć jej racje, nienawiść i zemstę?

W dodatku ciągle dzwoniła Magda Umer i prosiła, nie graj tego, jak możesz grać kogoś, kto zabija własne dzieci. Nigdy ci tego nie daruję, ja nie chcę tego oglądać. Niech gra to ktoś inny. Na próżno jej tłumaczyłam, śmiałam się z niej. Nic nie pomagało. Załamana, zwierzyłam się z moich problemów Ernestowi Bryllowi, który był wtedy moim sąsiadem. Ten, z fajką w zębach i absolutnym spokojem, uśmiechnął się i powiedział:

– Przecież to proste. Wyobraź sobie, że się zakochujesz w synu Czernienki na przykład. Ale który jest opozycjonistą, no wiesz, tak radziecki Michnik. Rzucasz dla niego wszystko, Polskę, rodzinę, przyjaciół, i jedziesz żyć do Związku Radzieckiego na Kremlu. Kochasz męża nad życie, rodzisz dwóch synów. Nagle, zmiana we władzach, Andropow zostaje Pierwszym, mąż cię rzuca, zakochuje się w córce Andropowa. Okazuje się, że nie jest już opozycjonistą, staje się potwornym komunistą, zaczyna gwałtownie robić karierę partyjną, a do tego synów wychowują ci na małych komunistów i nic na to nie możesz poradzić. Jesteś sama, nienawidzą cię, a ty ich. Wszystko co kochasz, rozumiesz, jest ci bliskie – daleko – i nie ma do tego powrotu, bo „zdradziłaś” dla męża. Do tego twoje dzieci kochają czerwony Związek Radziecki. Zrozumiałam wszystko (trochę z tymi dziećmi, wydało mi się naciągane, bo nie tak napisane), ale poza tym wiedziałam wszystko, byłam gotowa się mścić.

W dzień próby generalnej z publicznością, siedziałam w domu, z głową opartą o stół i wylałam:

– Jezu, o Jezu, umrę, zabiję się, o Jezu, ja tego nie wytrzymam, co to będzie... itp.

Marysia (moja córka) około 15 wygoniła mnie do teatru, mówiąc, że nie można już tego wytrzymać i na mnie patrzeć. W teatrze, w salce koło sceny natknęłam się na samotnie siedzącego, bladoego Hübnera. Siadłam w milczeniu obok niego... po chwili ciszy mówię:

– Aleśmy się wrabali, nie?

On, jakby obudzony ze snu zapytał:

– Jak to... wrabali?

Ja na to:

– No, jak się nie uda, to

koniec. Użył pan wszystkiego, czym dysponuje teatr i czego od lat nikt nie odważył się użyć w takim zmasowaniu. Pochyliła scena, czarna, monumentalna dekoracja, czarne lustro jako posadzka, kurtyna dymna, kurtyna świetlna, dymy, chóry, muzyka na żywo – fagadnie to określając – paletyczna, mikrofony, no i na koniec zapadnia. Jak się nie uda, to nam nigdy nie darują. A moja widownia, to tylko świeżo rozdziedzone, rozczarowane, nienawidzące kobiety.

Spojrzał na mnie, zbladł jeszcze bardziej, zerwał się i gdzieś pobiegł.

Nie wiem co i jak się działo tego wieczora, grałam jak w transie, na całym opakowaniu validolu, który kompletnie wysuszył mi gardło. Płakałam, krzyczałam, turlałam się, wylałam. Skrzek improwizował, dymy walały, chór śpiewał, a ja rejestrowałam tylko kolejne etapy „inscenizacji” i modliłam się o to co jeszcze przede mną. Dochodzi do momentu kulminacji, pierwszy raz w spektaklu, na moment zbiegłam ze sceny, żeby „zabić dzieci”, muzyka – improwizacja Skrzeka dochodzi do zenitu, rozrywa głośniki. Ja, w tym czasie na bosaka, w potwornym tempie przebiegam, zdzierając z siebie kostium, dwa betonowe korytarze, schody, wpadam do piwnicy, dopadają do mnie fryzjerka i dwie garderobiane, przeczesują, jednocześnie zakładając suknię, monstrem, olbrzym – stwór na metalowej konstrukcji 30 kg z przyczepionym wewnątrz mikrofonem, dzieci udające nieżywe leżą już w zapadni, dymy w pogotowiu, ustawiłam się na szeroko rozstawionych nogach, bo boję się tej zapadni i tego wyjazdu jak cholera, biorę dzieci w ramiona, Zelnik – Jazon kończy swój monolog, muzyka dochodzi do granic możliwości mikrofonów i głośników, buchają dymy i ja nie wiedząc, że mam już włączony mikrofon, syczę – k...wa, światło na mnie, bo ja jadę!!!

(co rozbrzmiewa w całej sali w mikrofonach), zapala się punktowiec i z gwizdem, wyciem instrumentu Skrzeka wyjeżdżamy spod sceny, gramy ostatnią scenę, dymy, chór, muzyka, kurtyna, cisza i... brawa.

Wracam, staniając się, do garderoby, nie widząc, nie czując, w korytarzu stoi Hübner z bladymi, zupełnie zacisniętymi wargami, nie mówimy do siebie nic. On też ledwo żyje. I w tym momencie, z ubikacji damskiej wychodzi jedna z koleżanek, która nie była na widowni, przyjechała do teatru chyba tylko na moment, może tylko zrobić siusiu, widzi mnie, w niebieskiej sukni, niebieskim makijażu z szafirowymi ustami, wybucha śmiechem i

wciągając Hübnera w komitywę mówi:

– O! Panna Smerfetka!!!

Pozdrawiam serdecznie
Krystyna Janda

P.S. Zygmunta Hübnera już nie ma. Myślę o nim zawsze z największym szacunkiem i... czułością. Pamiętam jak ten pozornie suchy, zimny człowiek wchodził do mojej garderoby, gdzie jak zwykle w gorące przygotowań, nieporządnie porozrzucone leżały moje ubrania, machinalnie podchodził, składał je równiutko, wieształ, zupełnie nie zwracając na mnie, czerwona z żażenownia, uwagi i mówił:

– Lubię jak pani gra, jest pani tak bezczelna, ale niech pani pamięta, że to sala na 400 miejsc, nie na 1400, i proszę mniej sentymentalizmu, bo tego nienawidzę.

P.S. Nie cierpię Eurypideśa, a już najbardziej nie znoszę Medei. Kiedy Krystyna oświadczyła mi, że teraz będzie ją grać i że jest to jej świadomy wybór, dostałam jakiegoś szalona. Błagałam, żeby tego nie robiła, ale nie miałam żadnych szans. Nikt by zresztą nie miał. No i zagrała. Miała wspaniałe recenzje, dostała nagrodę „Teatru” za rolę sezonu, nagrodę miasta Warszawy i wielominutowe owacje publiczności co wieczór, które ją utwierdzały w słuszności wyboru roli. A mnie się nie podobało i koniec. W życiu jej tych dzieci nie wybaczę.

Z pozdrowieniami

Magda Umer